

Widmo



Ibrahima

WALERY
PRZYBOROWSKI



Widmo



Ibrahima

WALERY
PRZYBOROWSKI



 SAGA
EGMONT

Walery Przyborowski

Widmo Ibrahima
POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW
MICHAŁA KORYBUTA

WYDANIE NOWE

Saga

Widmo Ibrahima

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Copyright © 1899, 2020 Walery Przyborowski i SAGA Egmont
Wszystkie prawa zastrzeżone
ISBN: 9788711676875

1. Wydanie w formie e-booka, 2020
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA jest wydawnictwem należącym do Lindhardt og Ringhof, spółki w grupie Egmont.

ROZDZIAŁ I.

*W którym jest opowiedziana żałosna historia
pana Zawiszy.*

Dnia 5 października 1672 r. od samego rana padał nieznośny, drobny deszcz, i dawniej zwany kapuśniaczką. Wieczorem wzmógł się jeszcze bardziej i mocno dokuczał obozowisku polskiemu, rozłożonemu we wsi Siłańcu i naokoło niej, niedaleko Zamościa. Starszyzna pochowała się do chałup wiejskich, stodół i obórek; sam zaś wódz, pan marszałek wielki koronny, Jan Sobieski, zajął nędzny dworek ordynackiego posesora. Ludzie rozłożyli się na polach okolicznych, przywiązawszy konie do palików, wbitych w ziemię; niektórzy rozbili małe namiotki, inni, niczem nieosłonięni, znosili deszcz ze stoicką obojętnością. W obozie panowała wielka cisza, bo mówiono, że zagon tatarski jest już niedaleko.

Pod namiotem, naprędce rozbitym, przed ogniskiem, jako tako od deszczu zakrytem, które więcej dymu niż ciepła dawało, siedziało i leżało w rozmaitych pozach kilku zbrojnych rycerzy i rozmawiali o wysłanym rano na podjazd panu Zawiszy, który dotąd nie wrócił, choć noc już ciemna zapadała.

— Hm! — rzeknie pan porucznik Pruszkowski, w misiurce na głowie, srogi z sumiastym wąsem rycerz — nie daj Bóg, ale skoro pan Zawisza dotąd nie wrócił, lękać się należy, czy nie wpadł na cały koszt pohańców i głowy swej nie dał.

— Nie gadałbyś waszmość, — mruknie na to Łastowiecki, buńczuczny samego pana marszałka — słyckana to rzecz, takie złowrózbnne przypuszczenia robić!

— Tembardziej — odezwie się na to pan chorąży Sieniawski — że Zaremba jest żołnierz stary i świadom tańca tatarskiego. A przytem ma on przy sobie pacholika, który choć smyk jest jeszcze, bo pono szesnaście roków liczy, ale jest zręczny nad podziw i szablą robi, jak najzawołańszy rycerz. Znacnie go wszyscy; Podlasiak jest i zwie się Marcin Boguta.

— Znamy, znamy! — odrzekli inni, a że właśnie jakaś głownia w ognisku z hukiem strzeliła, więc wszyscy umilkli i wpatrzyli się w tysiące sypiących się iskier.

— Hm! — ozwie się po chwili pan Pruszkowski — dziwny to jest człowiek ten Zawisza. Pono osiemdziesiąt lat już liczy.

— W rzeczy samej, jest to starzec osiemdziesięcioletni — odpowie pan Łastowiecki — ale czemu waszmość zwiesz go dziwnym?

— Ano temu, że w tym wieku to się już siedzi pod piecem i ciepłą polewkę pije, a pacierze odmawia, nie zaś wojuje z pohańcem.

— Tak to zwykle bywa na świecie — odrzeczce pan Łastowiecki — ale z panem Zawiszą jest inna rzecz. Znam ja go dobrze, bo my to oba swojaki i rodzic mój, daj mu Boże niebo, graniczył z wioską pana Zawiszy.

— Jakaż to jest rzecz z panem Zawiszą? — spyta Pruszkowski — opowiedz no nam waszmość. Czas jest paskudny, że psa żal wygnać, cknii nam się w tem ordynackiem błocie, to i radzi posłuchamy relacji o panu Zawiszy. Cóż to takiego, proszę ja waszmości?

— Smutna to relacja, mościwy panie, ale skoro waszmoście chcecie, to wam opowiem.

— Prosimy! prosimy! — odezwali się wszyscy.

— Otóż to, trzeba waszmościom wiedzieć, że pan Zawisza za młodu mieszkał na Ukrainie, gdzieś koło Kaniowa. Ożenił się tam z panną Czujko, dochował się trzech maleńkich synków, zagospodarował się i był, co się zowie, szlachcic do tańca i do różańca. Ale zapisanem było w niebie, że szczęścia na tej ziemi zażywać nie będzie. Pewnej wiosny— kiedy to było, nie wiem, — Tatarzy rozpuścili zagony swe po Ukrainie, napadli na wieś pana Zawiszy, wszystko zrabowali, jego samego posiekli, a dzieciąteczka, onych trzech synaczków, w jasyr wzięli. Wiadomo, jako to oni są łakomi na chłopięta, bo je samemu sułtanowi podarowują, a on z nich oną piechotę ma, co ją janczarami zowią. Potem słudzy znaleźli w stepie ciała dwu synaczków pana Zawiszy, ale trzeci, Staś podobno imieniem, najmłodszy i najpiękniejszy, wielki ulubieniec ojca, przepadł jak kamień w wodzie.

Tu pan Łastowiecki przerwał, spojrzął po zaciekawionych słuchaczach i tak dalej ciągnął.

— Imaginujcie sobie waszmoście wielką żalność ojca i matki, która cudem z onego tatarskiego pogromu ocalała. To też pan Zawisza ledwie się z onych ran wylizał, zabrał żonę i resztę dostatku, zawiózł ją do Drugni w Sandomierskiem, swej dziedzicznej wioski, osadził tam i zebrawszy trochę grosza do trzosu, ruszył samotrzeć z dwoma sługami do Krymu. Siedział tam dwa roki, znalazł jakiś ślad swego synaczka miłego, zajechał aż do Stambułu, ale nic nie wskórał, dopytać się nie mógł. Wrócił tedy na Ukrainę i poprzysiągł sobie, że dopóki jeno ręka jego szablę udźwiga, dopóty bić będzie Tatarów. Oto macie waszmoście wytłumaczenie, dlaczego pojechał na podjazd i dlaczego tak gorąco molestował JW pana marszałka, by mu regimentarstwo nad tym podjazdem oddał.

To rzekłszy, pan Łastowiecki westchnął sobie żalostliwie, a wszyscy też umilkli, rozmyślając nad smutnymi kolejami

losu pana Zawiszy.

I była wielka cisza pod namiotem, jeno smolne łuczycwo w ognisku strzelało, a konie, nieopodal powiązane, żrąc obrok, parskały. Deszcz lał nieustannie i słychać było, jak pluskał nieznośnie, a krwawe płomyki ogniska krwawo przeglądały się w pobliskiej kałuży.

Aż nagle ozwie się pan Pruszkowski.

— Jużcić jest to niechrześcijańska rzecz zemsta, ale tym razem pan Zawisza zgoła jest usprawiedliwiony. Ja, gdyby mię, czego Boże broń, podobne nieszczęście spotkało, nie inaczejbym, widzi mi się, postąpił.

— Oczywiście — rzeknie na to pan chorąży Sieniawski — boć przecie trzeba mieć na uwadze serce ojcowskie i że to z pohańcami się ma do czynienia. Bóg takiej zemście sprzyja i gdyby nawet spytać się o to księdza Przyborawskiego, spowiednika pana marszałka, a męża uczonego w teologii, niechybnieby to samo powiedział. I ja nawet...

Ale nie skończył pan Sieniawski swej mowy, bo nagle między ognisko i namiot wcisnęła się osobliwsza figura i stała tak przez chwilę, przypatrując się leżącym w namiocie, cała krwawo oświecona od krwawego płomienia.

Był to maleńki człowieczek, cienki jak tyczka, w wielkim kapeluszu na głowie, z którego zmoczone pióra melancholijnie na dół się spuszczały. Na ramiona miał zarzucony długi płaszcz czarny bez rękawów i bez stanu, fałdujący się na nim niby kapucyńska peleryna. Z pod tego płaszcza wyglądały nogi cienkie jak patyczki, w wysokich butach złocistej barwy, szpetnie błotem obryzganych. U butów dzwoniły ogromne ostrogi, których dobrze wypolerowane kółka odbijały blask ogniska.

Mąż ten, a raczej człowieczek, stanął, oparł się dumnie lewą ręką, w karwasze łosiowe przybraną, na rękajeści długiej i cienkiej jak rozen szpady i dwojgiem oczów czarnych, głęboko osadzonych, z pośrodku których sterczał

nos ogromny, wpatrzył się w rozmawiających pod namiotem. Długie włosy, wijące się w loki, czarne jak smoła, spadały mu, przemokłe widocznie, na ramiona. Figura wogóle w swej marsowej postawie, nie licującej ze wzrostem maleńkim i niezwykłą chudością ciała, robiła wrażenie krotochwilne i dziwaczne.

— Mości panowie — odezwał się po chwili świeżo przybyły, głosem cieniutkim jak u niewiasty i zabawnie piskliwym, przyczem w mowie jego brzmiał jakiś akcent cudzoziemski, i właściwie nie mówił „mości“, tylko „moci“. Spinał się na palcach a czarne oczy wytrzeszczał.

— Moci panowie — piszczał — zali jest tu pan Lastowiki? Miało to znaczyć, że pytał się o buńczuczego, pana Łastowieckiego.

Łastowiecki, który leżał w głębi namiotu, okryty cieniem, podniósł się i zawołał swym grubym głosem.

— A! to don Karlos Spinello o mnie pyta?

— Tak, to ja, don Karlos Spinello de Guadalaxarra, pyta o moci pana Lastowiki.

— Cóż tam? czego waszmość sobie życzysz ode mnie, mości don Karlosie?

To rzekłszy, podniósł się ciężko i wysunął się naprzód, górując swą olbrzymią postacią nad cieniutkim Hiszpanem. Ten zadarł głowę do góry, a przy migotliwym blasku ogniska było widać tylko nos jego olbrzymi, jasno oświecony. Zdjąwszy swój wielki kapelusz, pokłonił się z wielką galanterją i począł opowiadać łamanym językiem, jako pan marszałek wielki koronny, Jan Sobieski, mocno jest zaniepokojony, że podjazd, wysłany pod wodzą pana Zawiszy na zwiady, dotąd nie wrócił; że, prawdopodobnie, czego Boże broń, stało się z nim jakie nieszczęście; że wskutek tego wysłał jego, don Karlosa Spinello de Guadalaxarra, aby „pan Lastowiki“ zaraz stawił się w kwaterze pana marszałka; że zapewne — dodał już od

siebie don Karlos — pan marszałek wysła „pana Lastowiki“ w sto koni dla dowiedzenia się, co się stało z panem Zawiszą.

Mówiąc to, chciał don Karlos wygłosić tytuł Łastowieckiego, ale w żaden sposób nie zdołał wykrztusić wyrazu „buńczuczny“, co wywołało ogólny śmiech wśród obecnych.

Don Karlos jednak nie obraził się tem wcale, owszem śmiał się sam serdecznie i gadał, że język polski jest trudny do wymawiania, bo jest twardy jak żelazo. Wreszcie zakończył temi słowy.

— Ja prosić barzo pan Lastowiki, jeżeli on pojedzie na podjazd, żeby wziął ze sobą don Karlosa Spinello de Guadalaxarra, którego przodki mieczem wojowali z dzikimi Maury i który chce swej hidalgoskiej szpady zażyć przeciw Tatarom.

Pan Łastowiecki uśmiechnął się i rzekł.

— A dobrze. Czemu nie? Jeżeli waszmościa skóra świerzbi, to ci ją Tatarzy podrapią. Wiedz waść jednak, że Tatarzy to nie Maury. Inną jest z niemi wojna.

Ale don Karlos wyprostował się dumnie i uderzając po rękoności swego długiego rapira, począł pisać.

— Ja im pokazać, co znaczy hidalgo hiszpański, ja im to pokazać, ja ich przebić nawylot.

I pokazywał zabawnie ręką, jak będzie przebijał Tatarów nawylot, aż pan Sieniawski, który był śmieszek wielki, pokładał się od śmiechu.

— No, dobrze, dobrze! — rzeknie pan Łastowiecki — zabiorę waszmościa, żebyś jak najwięcej Tatarów poprzebijał swoim rożenkiem, a teraz idę do pana marszałka.

I nadziawszy kapuzę na głowę, postąpił parę kroków, gdy nagle rozległ się tętent koni i jakiś głos donośny zawołał:

— Podjazd wraca! wiwat pan Zawisza!

ROZDZIAŁ II.

*W którym Marcinek Boguta, przydomku
Stągiewka, opowiada dzieje swego miecza.*

Na wieść o powrocie podjazdu i pana Zawiszy, wszyscy w namiocie zerwali się na równe nogi i wybiegli, by zobaczyć, co się święci i jakie nowiny są o Tatarach. Ale już na samym wstępie, gdy się dopytywać przebiegających poczęli, gdzie jest pan Zawisza, jakiś ciura oburknął się i rzekł.

— A gdzież ma być, jeżeli nie u pana marszałka.

Tedy wszyscy pędem tam pobiegli, tak byli ciekawi nowin, bo leżeć na deszczu pod gołym niebem nie należało do rozkoszy i każdy radby jak najprędzej wyruszyć.

Wszystkich jednak prześcignął don Karlos. Biegł na swych długich, cienkich nogach jak zając, stawiał tak olbrzymie stosunkowo do swej małej figurki kroki, że raz znalazłszy się na czele biegnących, wkrótce wyprzedził ich znacznie i znikł w ciemnościach nocy.

Przytem panu porucznikowi Pruszkowskiemu wydarzył się wypadek. Biegąc, potknął się o coś na drodze i jak długi zwałił się w błoto, w którym szpetnie się pobabrał.

Wnet inni pomogli mu się podnieść i poszukać misiurki, która mu z głowy zleciała i gdzieś się potoczyła; odtąd też szli ostrożnie, bojąc się ulec takiemu samemu losowi.

W obozie ruch był wielki, wszyscy się dopytywali o nowiny, o to, z czym podjazd przyjechał; najrozmaitsze obiegały pogłoski, ale nikt prawdy nie wiedział.

Nasi rycerze nie uszli jeszcze połowy drogi do kwatery pana marszałka, gdy zjawił się przed nimi zpowrotem don

Karlos, trochę zadyszany, ale jak zawsze, wytworny w ruchach.

— Już wiem wszystko! — zawołał.

— Cóż waszmość wiesz? — spytał pan Łastowiecki.

— To, że don Zawisza przyprowadziła kilka Tatarów.

— Ha! więc zdobył języka?

— A zdobył.

— No... to chodźmy tam dowiedzieć się czegoś więcej, zwłaszcza, że będą niechybnie jakieś rozkazy.

Szli tedy już wolniej, gwarząc między sobą, gdy niedaleko kwatery pana marszałka ujrzeni wielkie ognisko, gorejące pod stodołą, koło tego ogniska gromadę żołnierzy, a wśród nich jakiegoś pacholka, rozprawiającego głośno. Stał on jasno oświetlony od płomieni, w czapce z zausznicami na płowej, jak konopie, głowie, czerwony jak Tak, bezwąsy, bo mógł mieć zaledwie jakie lat szesnaście do siedemnastu, w kubraku niegdyś białym, dziś niezdecydowanej barwy, przepasany rzemieniem, u którego zwieszał się wielki, prosty miecz niemiecki, w butach palonych za kolana, okryty złótką burką kozacką. Rozprawiał i opowiadał coś z wielką swadą.

— Bo to trzeba wam wiedzieć — mówił przeciągając z podlaska — że pan Zawisza jest dzielnomężnym wodzem, mężem ze wszech miar szczerowojennym, a Tatarzy mają jako najeźdźcy krzywowierny animusz. Kiedyśmy ich tedy dopadli z naszym mężnorycerskim pułkownikiem, ujrzeliśmy zdala gęstodymne ognie...

Pan chorąży Sieniawski, stojąc najbliżej owego mówcy i otaczającej go gromady, zrazu słuchał w milczeniu tego zabawnego opowiadania, a widocznie niewiele rozumiejąc, zawrócił się do swoich i zapytał.

— Co ta bestja gada?

— Cha! cha! cha! — roześmiał się pan buńczuczny Łastowiecki — to jest Marcinek Boguta, przydomku

Stągiewka, pacholek pana Zawiszy. Znam dobrze tego hultaja. Zrazu rodzic oddał go do klasztoru ojców Paulinów w Leśnej i tam liznąwszy trochę książkowej mądrości, nauczył się gadać takim przesadnym języddem. Ale chłopię jest dobre i mężne. Czekaścież mości panowie, ja go tu zawołam i wybadam, a może się odeń czego dowiemy o wyprawie pana Zawiszy i o Tatarach.

To rzekłszy, krzyknął głośno.

— Marcinek Stągiewka! sam tu do mnie!

Marcinek przerwał swe górnolotne opowiadanie, podniósł głowę i dużymi niebieskimi oczami wpatrzył się w ciemności, ale nie mogąc nic dojrzeć, zawołał, śpiewając szpetnie.

— Kto mnie woła?

— Chodź-no tutaj, a dowiesz się.

Zaraz też któryś z żołnierzy, na skraju gromady stojący, obróciwszy się i poznawszy pana Łastowieckiego, zawołał:

— Ruszaj zwawo! Jaśnie wielmożny buńczuczny cię wzywa!

Więc Marcinek poprawił na sobie opończy i przedarłszy się przez gromadę, stanął przed panem Łastowieckim. Pokłonił mu się do kolan, mówiąc.

— Jestem na rozkazy jaśnie wielmożnego pana buńczucznego.

— Słuchajno — rzekł tenże — jeździłeś na podjazd z panem Zawiszą.

— Jako bujnoszczęśny jego sługa, jechać musiałem, choć mnie do tego przymuszać nie trzeba było.

— I cóż? dopadliście Tatarów?

— Dziękochwały Panu Jezusowi, dopadliśmy.

— Gdzie?

— Pod Krasnobrodem.

— Daleko to stąd?

— Będzie ze dwie długoblotne mile.